

Andrzej Graffstein

część I z II

Sygnatura notacji: **N1599**

Data urodzenia: **26.11.1926 r.**

Data nagrania: **15.10.2021 r.**

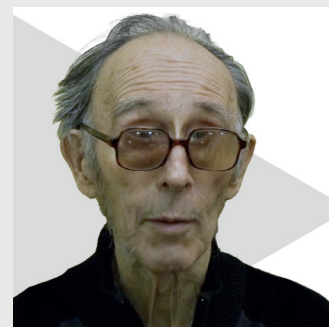
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa Polska**

Prowadzący rozmowę: **Tomasz Sikorski, Julia Krajewska**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 66 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Andrzej Graffstein: Urodziłem się 26 listopada 1926 roku. Urodziłem się w Poznaniu. Muszę powiedzieć, że ja nie mam miłości do Warszawy, bo tu są takie zwyczaje, na przykład umawia się człowiek z kimś, że spotka się o tej i o tej godzinie, w takim a takim miejscu, czeka pół godziny, godzinę, nikt nie przychodzi. To jest tu przyjęte. Potem się go pytam, dlaczego nie byłeś, „Bo mi nie wyszło”. To jest argument. Jakbym tak zrobił w moich stronach rodzinnych, nikt by mu ręki nie podał, do widzenia, już cię nie ma. Tam jest trochę inaczej. Dlatego ja nie Kocham Warszawy, dlatego Warszawa jest taka właśnie niekonkretna, za mało konkretna. Teraz co dalej, w tym Poznaniu skończyłem szkołę podstawową i szkołę podstawową skończyłem w momencie, jak zaczęła się wojna. To znaczy po skończeniu szkoły podstawowej nie mogłem już nigdzie dalej uczyć się, bo Niemcy pozamykali wyższe szkoły. Wyższe niż podstawowa. Następna sprawa, rodzice, znaczy ojciec był lekarzem, matka według... Państwo tego nie wiedzą, żona lekarza nie mogła pracować. Jeżeli pracowała, uważało się, że lekarz jest kiepski i nie potrafi zarobić na rodzinę, dlatego żona musi pracować. Matka moja nie pracowała. Matka była córką ziemian. Taką normalną. Jeździła do Warszawy na stację, uczyć się i wracała w strony rodzinne, a to było dwa tysiące kilometrów. Tam były takie zwyczaje. Matka wysyłała depeszę, że przyjadę takiego a takiego dnia, i wtedy do kierownika danego miejsca postoju pociągu przychodziła depesza, czyli informacja, że o tej i tej godzinie ma zatrzymać pociąg, żeby matka mogła wysiąść razem ze swoją siostrą. Takie były zwyczaje. To był ekspres. Szybki pociąg, a mimo to zatrzymywał się, matka wsiadała, wystawiała walizkę, podchodził prowadzący pojazd, czy to były sanie, czy to był powóz, zabierał bagaż, matka wchodziła z siostrą i jechali. Teraz powiem wam rzecz dziwną, to matka opowiada, a mianowicie była taka sytuacja, to była zima, jechali na Boże Narodzenie. Straszliwy śnieg leciał, z trudem dojechali na stację i tam matka wsiadła i ruszyli. W pewnym momencie prowadzący wóz, sanie, mówi: „Jaśnie panienko, zgubiłem drogę”. To co matka

zrobiła? Matka powiedziała: „Zatrzymaj konie, zluźnij i puść, żeby one same szły”. Konie doprowadziły ich do dworu. Natomiast potem pojechali zobaczyć, okazuje się, że dwa metry od tego miejsca, gdzie konie stanęły, był jar, gdyby jechali dalej, zjechaliby do tego jaru i by już ich nie odnaleźli żywych. Taki jeden wypadek był, o którym matka mi opowiadała. To jest ciekawostka troszkę. Więc to, że zatrzymywał się pociąg na stacji, to była byle jaka stacja. Zatrzymywał się pociąg, to kosztowało jedną świnie na nowy rok. Tak że ojciec, znaczy inaczej, prowadzący cały ten majątek raz do roku na koniec roku dostarczał jedną świnie naczelnikowi stacji. W ten sposób on zatrzymywał pociąg, w momencie, kiedy matka miała wysiąść ze swoją siostrą. Dość oryginalne zwyczaje, ale takie były tam. Co to znaczy tam? Tam była sytuacja taka, mój można powiedzieć pradziadek był właścicielem olbrzymiego majątku ziemskiego ukraińskiego. 27 tysięcy hektarów. Szalenie bogaty człowiek. Miał pięć córek i był tutaj w okolicach Lubowa człowiek, który miał 42 lata, chciał się koniecznie ożenić, bo był stary. Powiedzieli mu: „Pojedź tam właśnie do tych moich pradiadków”, tam se znajdziesz żonę. Przyjechał i wybrał sobie najmłodszą, ta mu się najbardziej podobała, a zasada była taka, w majątku, jeżeli przyjechał chętny na małżeństwo, to on musiał wziąć najstarszą, inaczej nie było wolno. Musiał wziąć najstarszą, czy mu się podobała, czy nie. A tu najmłodsza, powiedział „Ja chcę mieć” i prababka zgodziła się na to małżeństwo, bardzo jej było trudno, urodziła dziewięcioro dzieci, z tego siedmioro zmarło. Dwoje się wychowało. Tam były przedziwne historie, bo matka opowiadała, jeden syn był ciężko chory na zapalenie płuc, ich matka jechała powozem, żeby go odwiedzić. Trzeba było przejechać przez rzekę, na której był już łód. Zastanawiali się, jedziemy czy nie jedziemy, czy można, czy nie można. Wreszcie babka powiedziała: „Jedziemy dalej”, bata koniom i przejechali. Trochę się pozalewało, ale niegroźne. Natomiast ludzie ze wsi, którzy próbowali przejechać przez tę rzeczkę, wszyscy potonęli. Nikt się nie uratował. Takie były sytuacje wtedy. Teraz dalej. Ojciec mojej matki był doskonałym gospodarzem, jeśli chodzi o ziemię. Z chwilą, jak on przejął prowadzenie majątku, to mu to świetnie szło, ale co było śmieszne, jeżeli przyjechał jakiś urzędnik, to on nie mógł nic załatwić, tylko podpis jego żony, a mojej babki, a matki mojej matki, był liczący się. Przyjechał na przykład w akcyjnych sprawach, tam produkowali alkohol, to on nie miał nic do powiedzenia, ani [niezrozumiale, 00:07:40], ani ktokolwiek inny, tylko moja babka. Ona podpisywała, że to jest zgodne, tam trzeba było dać mu dziesięć rubli łapówki i obiad. To wtedy była załatwiona sprawa, podpisać, co trzeba i było dobrze. Takie były tam zwyczaje. Tam bez łapówki nic się nie załatwiło. Trzeba było koniecznie dać łapówkę. Teraz przejścia dalsze, jest dwór, w którym mieszka ta babka, mieszka jej mąż, mieszka moja matka i jej siostra, i jeszcze ktoś tam z rodziny. W pewnym momencie jest telefon od akcyznika, tego od alkoholu, chłopci chcą napaść na dwór. Uciekajcie. Więc oczywiście najstarszy rodu wydaje zarządzenie, żeby sprowadzić odpowiedni pojazd, po dwa konie do tego przyczepić, wybrać co lepsze meble, wsadzić do tego wozu i wsadzić tych wszystkich żywych ludzi do środka. I oni uciekają. Uciekają do najbliższego miasteczka. Zabierają ze sobą to, co jest cenne, co będzie można sprzedać, a ich syn, żeby zająć tych, którzy mieli ewentualnie napaść, ogłosił, że będą rozdawali zboże. Zwołali tych mieszkańców tamtejszych do magazynu i zaczął wydawać do worków zboże. Jak się zorientował, żeby się załadowali i odjechali, to powiedział: „Dalszy ciąg jutro”. Poszedł, wziął konia, wsiadł i pojechał za nimi. I teraz przez tydzień, jak sobie radzili. Radzili sobie w ten sposób, że sprzedawali wartościowe przedmioty, jakieś pierścionki, jakieś bransoletki i z tego mieli na żywność. Natomiast po tygodniu przychodzi wiadomość, że chłopci wcale nie obrabowali dwór, wszystko jest tak jak było. Matka moja, która była bardzo energiczna kobieta, i nie było sprawy, której by matka nie załatwiła, to jeszcze tak wam potem powiem, matka poszła załatwiać jakąś sprawę na czwarte piętro, a była niska, gruba i trudno jej było chodzić. To czwarte piętro, wchodzi do tego pokoju, gdzie się to załatwia, a tam siedzą dwie panie i obie są na nie. To się nie

da załatwić, to się nie da zrobić, to niemożliwe. Matka mówi: „Wiedziecie co, ja się tu zmęczyłam chodzeniem, czy nie można u was posiedzieć na krześle, odpocząć?” „Można”. Matka siadła, pogadała z nimi i załatwiła. Takie miała talenta. Później to w czym innym. Więc potem pojechali jeszcze raz, ale okazuje się, że była obrabowana. I teraz w tym miasteczku zaczęło się robić też nieprzyjemnie. Tam były napady, takie różne rzeczy. Przenieśli się do następnego miasteczka, większego. Tam znowu sprzedawali wartościowe przedmioty i z tego żyli. W końcu... I tam zaczęło się smrodliwie robić, przenieśli się do... uciekło słowo, duże miasto w Rosji, sobie potem przypomnę nazwę. I tam zamieszkali. Tam stało 12 pociągów z lokomotywami, które miały gdzieś jechać, nie bardzo wiadomo było gdzie. Natomiast matka, która była bardzo sprytna, dowiedziała się, że niektóre pojedą do Warszawy. No, okazja cudowna, wpakować się tam i dojechać do Warszawy. Ale trzeba było się dowiedzieć, który pociąg. To matka poszła do naczelnika stacji i pyta się go, on mówi: „Taką ładną dziewczynę to trzeba poinformować. Po co mają komuniści ją zabrać” i powiedział jej, który z pociągów pojedzie do Warszawy. To oni się tam przesiedli, wyczekali swoje i potem podróżowali do Warszawy. Na ten temat jest sporo w literaturze, nie wiem czy opowiadać, czy nie. To było w ten sposób, że obsługa pociągu chodziła po przedziałach, każąc sobie dawać wartościowe rzeczy. Potem, jeżeli jeszcze tutaj było mało, zatrzymywali pociąg i powiedzieli, jeżeli obsługa nie pójdzie, nie narąbie drewna, to dalej nie pojedą, bo nie mają czym palić. Więc tam też były przechyły rozmaite. W każdym razie efekt był taki, że po bardzo długiej podróży dojechali do Warszawy. Tam się gdzieś ulokowali, znaczy moja matka, jej matka i siostra mojej matki. Teraz nadchodził 1920 rok. Nie wiem, czy państwo wiedzą. To nie było zwycięstwo, jak się okazało. Było rzeczywiście... Matki Boskiej widok się ukazał, ale nie to było przyczyną zwycięstwa. Przyczyną zwycięstwa była... Kto był? Stalin. Stalin pozwolił nam wypędzić Rosjan spod Warszawy. Stalin chciał mieć jakieś zwycięstwo. On był politycznym... Taka olbrzymia armata, uciekło nazwisko...

Tomasz Sikorski: Budionny.

Andrzej Graffstein: Budionny, tak. Więc tam Stalin był politycznym i on chciał mieć też jakieś zwycięstwo. Więc oni doszli do wniosku, że będą walczyć o Lwów. Końmi zdobywać miasto, głupota. Nie szło im to dobrze. Dostawali rozkazy, żeby wzmacniać siły oddziału, który stał jako ochrona tego oddziału, który miał zaatakować Warszawę i zdobyć ją, ale Stalin sprytnie zmieniał te rozkazy tak, że oni nie rozumieją, o co chodzi i nie poszedł bronić tego oddziału, który miał zaatakować Warszawę, a ten, który miał zaatakować Warszawę, był bardzo nędzny i dlatego koniecznie chcieli mu pomóc pośłać. Piłsudski... Aha, jeszcze jedna rzecz, myśmy mieli taką sytuację, że na północ od Warszawy Rosjanie zaatakowali te miasteczka. Ponieważ myśmy mieli jeszcze siły obronne, więc wypędziliśmy tych Rosjan i oni zostawili swoją aparaturę nadawczo-odbiorczą razem z kodem. To znaczy z tym, z szyfrem. I jeden z Polaków dostał obowiązek pilnowania wszystkiego wieczorem i w nocy, i nudziło mu się. Wziął się za ten szyfr rosyjski i rozszyfrował go. Myśmy zrozumieli depesze wysyłane z Moskwy do tych właśnie, tego Budionnego i tych, co byli nad Warszawą. Ponieważ wiedzieliśmy, o co chodzi, więc dostawaliśmy odpowiednie działanie i wypędziliśmy tych, którzy mieli obowiązek chronić oddziały stojące pod Warszawą, które miały zaatakować Warszawę. Tu przywiózł, dowiedział się tego właśnie Piłsudski z tych szyfrów, posłał wojsko, zebrał, kogo mógł, posłał wojsko pociągami i zaatakował ten oddział, który chronił stojący pod Warszawą oddziały, które miały Warszawę zaatakować. Tego było dosyć dużo, a że ten napad był skuteczny, zaczęli ci ochroniarze uciekać. Jak oni zaczęli uciekać, to myśmy uderzyli też w oddziały stojące pod Warszawą i ci zaczęli uciekać. Dość długo uciekaliśmy. W końcu oni wpadli

do Prus Wschodnich, gdzie Niemcy ich przepuścili, natomiast nas nie chcieli przepuścić na tereny Prus Wschodnich. Oni tam uciekli dosyć daleko, dość długo, skończyło się na tym, w tym czasie były zrobione nie tyle narady, ile, no...

Tomasz Sikorski: Odprawy.

Andrzej Graffstein: Słucham?

Tomasz Sikorski: Odprawy.

Andrzej Graffstein: Nie zrozumiałem.

Tomasz Sikorski: Odprawy.

Andrzej Graffstein: Nie, były po prostu prowadzone, no, można powiedzieć narady, jak ma wyglądać granica polsko-rosyjska, więc z początku byliśmy bardzo bici, ale jak tutaj pogonili tych przez te Prusy Wschodnie, to myśmy się okazali mocni i te rozmowy zrobiły się korzystne dla Polski. [niezrozumiałe, 00:17:18] handlowaliśmy, tam inne rzeczy, i na tym się skończyło, tak że w ten sposób wygoniliśmy tych Rosjan, którzy stali pod Warszawą. Nie pamiętam, skąd ja to wiem, czy może i czytałem, trzeba państwu wiedzieć, że tutaj jest taki dobry punkt, gdzie jest dużo dysków takich, jak te, co ja dałem wam do czytania. Ja te dyski pożyczam, słucham, jeżeli jest ciekawy, to kopiuję. Mam ponad 200 dysków takich pożyczonych z biblioteki z rzeczami ciekawymi. Po co mi mało ciekawe, cała trylogia jest tam, takie różne rzeczy, co mi się podobało, to sobie kopiowałem i do pudła. Więc... Dobrze, to już powiedziałem o tym. Nie wiem, czy państwo mają może inne informacje, ja takie informacje dostałem i przekazuję to, co wiem. Teraz tak, przeskakując do spraw prywatnych, matka została w Warszawie, Rosjanie uciekli, trzeba było coś ze sobą zrobić. Matka jeździła na pensję, znała dobrze polski, historię Polski, geografę Polski, natomiast w poznańskim Niemcy zakazywali w ogóle czegokolwiek uczyć na temat Polski. Nawet po ostatniej wojnie dostała zeszyt od kolegi, gdzie było napisane: „Nie wolno mi mówić po polsku”. Oczywiście było napisane po niemiecku i cała strona była w ten sposób zapisana jako kara. Natomiast szkoła podstawowa, do której ojciec mój chodził było takie, że jeżeli się ktoś z tych uczniów odezwał po polsku, to przychodził woźny, wymierzał odpowiednią ilość razy w tyłek. Tak że po polsku mówić tam nie było można. Ojciec mój tam uczył się dosyć długo, zrobił maturę, był bardzo dzielny piłkarzem, jak on kopnął to na trzy czwarte boiska leciało. Bardzo silny był, ponieważ go głodzili na stacji, więc podkradał kolegów śniadanie i zżerał im. W końcu ojciec się zdecydował po zrobieniu matury, że będzie studiował na Politechnice Gdańskiej. Poszedł tam, tam mu kazali jakiś rysunek zrobić, a ojciec bardzo dobrze rysował i miał nawet talenty rysunkowe, bo nawet obrazy rysował i malował. Ale zrobił tam jakieś błędy, powiedzieli mu, żeby tego nie poprawiał, tylko po prostu narysował jeszcze raz. Ojciec się rozżłościł, wyniósł się z Politechniki Gdańskiej, poszedł na medycynę. A w międzyczasie zanim pojechał w ogóle studiować, dostał od swojego ojca pewną sumę pieniędzy, żeby miał z czego żyć. Ojciec przyjechał, a tam koledzy mu pokazali wesołość życia studenckiego. Tam zabawy z babami, to tam to, ojciec miał duży talent do grania na instrumentach, tak że potrafił grać na fortepianie do tańca. Jak mu się pieniądze skończyły od ojca, to napisał do ojca, żeby mu przysłał pieniądze. Jego ojciec, czyli dziadek, napisał tak: „Szaleństwo jest krótkie, pokuta długa”. I nic mu nie przysłał. To on zaczął grać na tym fortepianie i zaraz było wystarczająco. Potem

jak poszedł na medycynę, to było jeszcze weselej. Tam się po prostu nie uczyli, tylko bawili się. Tak że ojciec bardzo miał powolne postępy w tej medycynie. Jak się pierwsza wojna światowa zaczęła, to doszedł tylko do tego, że nie mógł być lekarzem, tylko... Trudne słowo.

Tomasz Sikorski: Felczerem.

Andrzej Graffstein: Felczerem, tak jest. I leczył niemieckich żołnierzy. Była taka historia, nasz Anders miał oddział, doskonały oddział konny, i natłok, dużo Niemców z szablami. Ojciec był wściekły, że mu tyle roboty narobił. Na Andersa był wściekły. Ale tak było. W każdym razie, kiedy się wojna skończyła, to ojciec mój pojechał do Berlina, tam był taki zwyczaj, że młodzi ludzie, którzy studiowali, nie studiowali na jednym uniwersytecie, tylko przenosili się z jednego do drugiego, żeby swoją wiedzę powiększyć. Tak że ojciec studiował na wielu uniwersytetach. Jak się wojna skończyła, pojechał do Berlina, w krótkim czasie skończył studia, dostał dyplom, potem pojechał do Krakowa nostryfikować, żeby miał prawo leczyć w Polsce. Nostryfikował swój dyplom i miał uprawnienia do leczenia w Polsce. Tak jego kariera wyglądała. Po skończeniu studiów zawiesił się w Poznaniu. W szpitalu miejskim dostał pokój i jeżeli się coś działo, tam ktoś zachorował gwałtownie albo był umierający, to ojca wzywali z tego pokoju, żeby ratował tego człowieka. Oczywiście w tym czasie główny prowadzący ten szpital, ten dział, siedział sobie w domu i nic nie robił. Ojca wiedzieli, że wezwą, bo to zrobili dla niego. Już nie pamiętam nazwiska, sobie potem przypomnę, jak się nazywał ten ordynator. Teraz jak się wojna skończyła, ojciec siedział w Poznaniu. A matka moja mieszkała w Warszawie i zastanawiała się, co ze sobą zrobić. To powiedzieli jej tak: „Pojeżdż na zachód, bo na zachodzie nie ma ludzi znających historię Polski, literaturę Polski, pisownię Polski. Tam dostaniesz od razu pracę, bo będziesz jedną z nielicznych osób, które to zna i umie”. I matka pojechała do Poznania, i tam zatrudniła się jako nauczycielka. Tymczasem miała koleżankę, która ojca mojego znała i powiedziała do mojej matki: „Chodź, pójdziemy do kina”. Poszli do kina i się spodobałi się, ojciec mój i matka sobie wzajemnie. Żeby było śmieszniej, to są fakty, co opowiadam. Tak się spodobałi, że ojciec postanowił, że się ożeni z tą właśnie ziemianką. Pojechał do Warszawy, poprosił o rękę. Takie były zwyczaje. Dostał zgodę i potem zawarli ślub. Żeby było śmieszniej, we wrześniu. Nie wiem czy wiecie, gdzie jest Wrzesnia. To jest 50 kilometrów od Poznania. I teraz trzeba było gdzieś umieścić tych nowożeńców, więc przyjechali urządzić wesele. A, jeszcze jednej rzeczy nie powiedziałem, więc była taka sytuacja, mój dziadek studiował agromonię i mu ojciec powiedział: „Słuchaj, bardzo teraz tanio można kupić polski majątek. Niemieckie kasy finansowe bardzo chętnie dają duże pożyczki. Bo chodzi o to, żeby wykupywać polskie majątki. Więc on kupił sobie taki duży majątek, ale nie bardzo umiał go prowadzić, więc miał jakiegoś tam pomocnika, który to robił. Natomiast ożenił się z gdańszczanką, ta mu urodziła dwoje dzieci, syna i córkę, których ja znałem zresztą później, ale rodząc trzecie dziecko, zmarła. Więc on został z dwojgiem nieletnich dzieci, z dużym majątkiem, bardzo zadłużony, który trzeba było prowadzić. No, taki genialny to nie był. Poszukali mu kobietę do pomocy. Kobieta ta była w bardzo polskiej rodzinie, do tego stopnia że jej ojciec przedał się przez granicę prusko-rosyjską i brał udział w Powstaniu. Jak Powstanie upadło, to wrócił do Prus i tam prowadził jakiś majątek. Natomiast ten kupiony majątek, który miał mój dziadek, nie przynosił wielkich zysków i był kłopotem, bo dziadek zmarł, a babka nie umiała prowadzenia tych robót polowych. Więc rodzina postanowiła, że zrobią taki [niezrozumiałe, 00:27:40]. To opowiadam, bo to jest ciekawostka. Mianowicie, poszukają na terenie już zdobytych polskich terenów jakiegoś Niemca, który się zgodzi na to, że on odda swój majątek w Polsce, no, majątek ten w Prusach. Gdzie ten mój dziadek miał ten majątek. I tak się stało. Znaleźli chętnie-

go, przenieśli tu i tam, i przenosiny był takie, że nawet psy zostały w jednym i w drugim majątku. Tak że jak ja pojechałem do majątku mojej babki, dziwiłem się, że z zarządcą nie mogę rozmawiać, a z psami nie można się było porozumieć, bo psy znały tylko niemiecki. Tak to wyglądało. Teraz jeszcze coś do przebawienia. Mianowicie ojciec miał siostrę. Ta siostra podobno była bardzo brzydka, więc wydali ją za jakiegoś ziemianina, który miał takie perypetie. Jego brat go oszukał przy spadku. Polskie ziemie postanowiły te tereny, gdzie oni mieszkali, tę Wrześnię rozparcelować, czyli wyprzedać tę ziemię. Natomiast mój wuj, zawarł z polskim państwem umowę, że on będzie te ziemie prowadził. Będzie tym administratorem tego majątku. Więc teraz doszło do procesu, ten proces mój wuj wygrał, dostał odszkodowanie od państwa polskiego, te pieniądze, które dostał, złożył w banku szwajcarskim. Wtedy była straszliwa inflacja. Powiem wam tylko tyle, co ojciec zapowiadał, bo to jest oryginalne. Jedzie się tam w majątku, wsiada się gdzieś tam na początku, jak się przejedzie trzy czwarte drogi, przychodzi konduktor, dopłata, bo już pieniądze straciły wartość, trzeba dopłacić do biletu. Straszliwa inflacja była. Milion złotych to był normalny pieniądź. Teraz mój wuj był tam, wygrał ten proces, miał, tak zwana siostra mojego ojca i nie mieli co robić, ale babka nie bardzo radziła sobie z tym majątkiem. Musiała prowadzić dwór, majątek i szereg innych rzeczy, ciężko jej było, więc postanowili... Ten wuj będzie prowadził majątek, a on się znał na tym. Przenieśli ich do tej miejscowości, miejscowość nazywa się Czerwień i tam przenieśli jego, on tam zamieszkał i prowadził ten majątek. I ja to dobrze znam, bo ja w dzieciństwie byłem bardzo chorowity, tak że mnie posłali do tego majątku i tam mieszkalem dłuższy czas do pójścia do szkoły. Babka była na tyle inteligentna, że zrobiła w konia lekarzy. Ja nie miałem towarzystwa żadnego, więc chodziłem za ogrodnikiem. Ogródnik miał pomocnika, który był kulawy, ciągnął nogę. I ja też zacząłem kulać, jak się okazuje, noga była zdrowa, tylko po prostu naśladowałem. Sprowadził lekarzy rozmaitych, bo przepis jest taki, że jeżeli choruje jakiś syn lekarza czy córka lekarza, to leczeniem zajmuje się kolega, pediatra za darmo. Naściągali tych lekarzy do mojej nogi i nie mogli nic wykryć, bo noga była zdrowa. Dopiero babka widziała tam przez okno, jak idę i naśladowuję tego pomocnika ogrodnika, powiedziała, że ja po prostu naśladowuję, że noga jest zdrowa. Podali i stwierdzili, że babka ma rację, więc ośmieszyła lekarzy. W końcu babka w 1935 roku zmarła i wuj już pełnoprawnie prowadził majątek. On miał trzy córki. Córki te... Aha, jeszcze powiem jedną rzecz. Nie wiem, czy państwo zdają sobie sprawę z tego, że w momencie, jak komuniści przychodzili do Polski i mieli tu rządzić, zapytali się naszych polskich komunistów, która z partii jest najbardziej przeciwna komunizmowi. To w ogóle bardzo patriotyczna. To powiedzieli jaka i ziemianie. Kto robił wszystkie powstania. No, oni robili powstania. Więc trzeba ziemian zniszczyć. Jak to zrobić? Bardzo prosto. Po prostu należy ich wyrzucić z majątku, żeby byli biedni. Należy ich wyrzucić z dworów, żeby nie mieli gdzie mieszkać, żeby byli bezdomni, więc tak zaczęto robić. I robiono to dosyć konsekwentnie, o czym wiem. W każdym razie wrócili z tego majątku i on nie umiał już prowadzić go. Tak sami jego rodzinę, też córki wyrzucili, tylko że ziemianie byli dosyć odporni. Oni nie dawali się tak bardzo niszczyć. Dzieci chodziły do szkoły, mimo że dzieci proletariatu miały punkty. Oni nie mieli punktów, ale nie wiem, co to, tak właśnie wuja dzieci, córka skończyła prawo i była radcą prawnym jakiegoś przedsiębiorcy. Starsza córka skończyła medycynę, pracowała w jakimś przedsiębiorstwie, lecząc kobiety pracujące tam, najmłodszą się nie chciało i niczego nie studiowała. Ale była ciężko bita za to. Dlatego, że jej mąż był księgowym i zrobił przekręt, i wpakowali go do pudła, i ona musiała leczyć, zajmować się dziećmi, które oni mieli, a z czego tu brać pieniądze? Nauczyła się krawiectwa i po prostu z tego krawiectwa miała pieniądze, żeby leczyć dzieci swoje, w ogóle zajmować się nimi. To tak z grubsza, jeśli chodzi o rodzinę, wam powiedziałem.

Tomasz Sikorski: To, co pan pamięta z czasu przedwojennego, wojny, proszę prowadzić narrację tak, jak pan uważa, to, co chce pan potem przekazać.

Andrzej Graffstein: Dobrze. Teraz tak, ojciec mój miał reumatyzm bardzo silny, dowiedział się, poszedł do wojewody, wojewoda powiedział, że wojny nie będzie, ojciec pojechał na Węgry leczyć swój reumatyzm. Dopiero 5. od rozpoczęcia wojny dowiedział się, że zaczęła się wojna. Szybko wrócił do Polski, pojechał do Warszawy, tam [niezrozumiałe, 00:35:15] zatrzymali się, była przyjaciółka mojej matki, która go przyjęła, żywiła, a on się odwodził w taki sposób. Niemcy rozstrzelali Warszawę, a ojciec, ponieważ był w wojsku niemieckim, więc orientował się, jak oni rozstrzelują i zorientował się, że następny pocisk padnie w pokoju, gdzie na fotelu siedział ojciec tej pani, która ojca tam hołubiła. Więc ojciec powiedział do niego: „Wstawaj, bo zginiesz”, a on „Nie”. To ojciec wziął go za rękę i pociągnął, i wyciągnął go na korytarz. Za chwilę wpadł pocisk, a akurat w ten fotel. Taka ciekawostka. Więc ojciec wrócił dopiero 27 października, a wojna zaczęła się 1. Matka szalała, nie wiedziała, skąd pieniądze brać, co robić, czy ojciec żyje, co na tych Węgrzech robi, on tam pracuje, tam założył sobie miejsce pracy. Ojciec 27 wrócił, wielka radość była. A matka była bardzo zaradna i sprytna, więc jeden pokój wynajęła Niemcom, bo mówiła, że wróg, który jest blisko, jest najmniej niebezpieczny. Matka знаła niemiecki, może nie nadzwyczajnie, ale znała, chodziła do nich raz po raz. Czy czegoś nie potrzebują, czegoś nie chcą. Ojciec wrócił, poszedł do tych Niemców, pokazał im, że oni nie umieją pisać ani czytać, bo robili błędy w tym, co napisali. Ortograficzne, stylistyczne co się dało i wykazał im to. Więc poznali, że ojciec niemiecki zna płynnie i bardzo dobrze. Wtedy zażądali, żeby ojciec stał się folksdojczem albo arisedeutschem Ojciec powiedział: „Nie, nie będę”. To powiedzieli: „To nie wiadomo, co będzie”. W tym czasie zaczęto wywozić mieszkańców Poznania takich, których się bali. Którzy mogli im szkodzić, jakieś robić zamieszanie, dziwne rzeczy, więc wywozili. Założyli obóz taki, jak to się nazywało, zaraz sobie przypomnę, gdzie zgarniali ludzi, ładowali w autobusy i wywozili do tego obozu. Myśmy się bali, że nas wywiozą, matka zrobiła, zapakowała, co wartościowsze rzeczy, tam, co mieli naprawdę wartościowe, złota czy czegoś takiego, to matka na siebie to włożyła, mnie kazała to włożyć, przyczepić też złoto i tak czekaliśmy, co będzie dalej. 23 stycznia przyszło wieczorem trzech Niemców do nas i powiedziało do ojca tak: „Musimy was ewakuować”. I macie w ciągu trzech dni opuścić mieszkanie”. Myśmy byli przygotowani, wszystko było zapakowane, tam każdy ubrał się, bo było 15 stopni mrozu, zleźliśmy na dół, ostatni raz widząc mieszkanie i poszliśmy do autobusu, pojechaliśmy do obozu. W tym czasie matka sobie przypomniała, że czegoś nie wzięła, posłała kucharkę, tam poszła do mieszkania, zobaczyła, że jeden z tych Niemców, którzy mieszkali u nas, ukradł jakąś poduszkę. Taka ciekawostka. W każdym razie nas tym autobusem zawieziono, [niezrozumiałe, 00:39:01] się nazywał ten obóz, zawieziono do tego obozu, wprowadzono do pokoju, gdzie siedziało czterech Polaków, tak zwanych Leistungspolen. Potem wytłumaczę, co to znaczy. Oni pytali się nas, czy mamy złoto, czy mamy niemieckie pieniądze. Coś myśmy mieli oczywiście, ale nikt się nie przyznał do tego, a ja miałem 14 marek. Przyznałem się do tego, że mam marki. To mam pokazać. Dałem temu, który bliżej siedział, on wyjął te marki z mojego portfela, schował w kieszeń, portfelik mi oddał. Ci siedzący obok krzyczeli „Dziecku będziesz zabierał?” A on zabrał, wsadził w kieszeń. I dobra. Kiedy nas zapisali, spisali, wszystko, co chcieli wiedzieć, wyprowadzili nas z tego pokoju do baraku, gdzie mieliśmy nocować. Bo to się wszystko działo po nocy. Zaprowadzili nas do budynku murowanego, na piętrze były okna częściowo powybijane, leżała słoma od muru do ścieżki, deską odgrodzona i tam mieli wszyscy nocować. Przyszedł człowieczek i powiedział tak: „Słuchajcie, z naszego doświadczenia wynika, że najlepiej jest położyć się nago. Rozebrać się zupełnie i nakryć się tym,

co zdjęliście". Ja uznałem, że to jest głupi pomysł, więc w czapie, w rękawiczkach, w butach, w tym na nogi też pozakładał, położyłem się spać. To była gdzieś 3:00 godzina. Tam przywieziono również ludzi, którzy mieli małe dzieci. Moja siostra miała trzy lata, też można było [niezrozumiałe, 00:41:00]. Poszli do Niemców z awanturą, że im zimno, przecież nie możecie takiej temperaturze trzymać dzieci. Co im dali trochę węgla, odpalili w piecach tam, z tych -15 zrobiło się -5. Rano o 8:00 apel śniadaniowy. Każdy schodził, zostały dwa kawałki chleba, smarowane nie wiadomo czym, bo nie wolno było poznać, jakieś warzywne rzeczy. I kubek gorącej kawy, czarnej, bez mleka, żeby się miało czym popić. Każdy zjadał to śniadanie, wypijał tę kawę, czarną bez mleka, bez niczego i był wolny, bo to nie był obóz pracy, tylko obóz przesiedleńczy. Mógł robić, co chce, byle nie próbował wyjść poza obóz. Tego nie wolno było. W południe, gdzieś koło godziny 14:00, może 15:00 był obiad. Obiad to był miska małej zupy, śmierdzącej nie wiadomo czym, w tym pływały kawałeczki makaroniku. Jak ktoś miał szczęście, to znalazł oprócz tego kartofel w tej zupie, a jak miał bardzo dużo szczęścia, to znalazł kawałek mięsa nawet. Wszyscy zjedli, to pooddawali talerze. „Możecie dalej robić, co chcecie”. I gdzieś koło godziny 16:00 była kolacja. Znowu dawali po kawałku chleba i czarną kawę. On to zjadał i teraz zarządzenie było, że o 10:00 trzeba spać. Myśmy na 9:00 chodzili na górę, przychodził ksiądz i śpiewaliśmy pieśń, to ja do dzisiaj nie zapomnę. Jak mi zaśpiewają w kościele, to ja od razu szybko szukam wyjścia i wynoszę się, bo mam dosyć tej pieśni. Jak pieśń odśpiewaliśmy, każdy się kładł, obowiązek pogaszenia świateł i spaliśmy. I tak wyglądał dzień w dzień. Teraz nastąpiła zmiana. Mianowicie byłem tam w szpitalu w tym obozie. Kierownik szpitala został wywieziony, bo tam zwyczaj taki był, że każdego po dwóch tygodniach pobytu w obozie ładowali w pociąg i wywożono poza warthegau, czyli poza tę niemiecką część gdzieś na część tak zwaną polską. Do różnych miejsc, do Krakowa, na północ Polski, gdzie się dało. Niemcy sami wysyłali dokądś. Myśmy mieszkali z tymi, jak to ja nazwałem, słowo już uciekło. Ci ludzie to byli pomocnicy Niemców. Ich zadaniem było pobieranie żywności, rozdawnictwo tej żywności, typowanie tych, którzy mieli być wywiezieni. Leistungspolen. I tutaj powiem, czego nie napisałem w tym, mianowicie ci wszyscy Leistungspolen zostali przerzuceni do Poznania. Mimo, że zostali przed tym wywiezieni. Dali im tam się gdzieś mieszkanie, nie wiem gdzie, co i jak. W każdym razie oni wrócili. Natomiast jedynym nam nie wolno było wrócić. Wywieźli nas do Warszawy, potem postanowili, że wywiozą nas na północ, może sobie przypomnę, jak się nazywało to. I wtedy poznaliśmy technikę dalszego działania. Mianowicie ojciec został kierownikiem tego transportu, zaprowadzili go do tych, którzy rzadzili tą miejscowością. I tu należało wytypować, gdzie będą mieszkali ci wywiezieni. Mieszkańców wsi, którzy przyjeżdżali wozami, na te wozy ładowano wybranych ludzi z pociągu i wywożono ich do tej miejscowości. Tam oni mieli mieszkać u tych właścicieli terenu, i ewentualnie u nich pracować, żeby zarobić na chleb. To tak mnie więcej wyglądało. Myśmy czekali bardzo długo, bo w tej miejscowości, gdzie nas wywieźli, było dwóch lekarzy i ojciec nie chciał mieć konkurencji. W końcu jak już wszystkich wywieźli, trzeba było nas wywieźć. Postanowiono, że nas wywiozą do miejscowości Tasterdy. Wywieźli nas do sekretarza. Sekretarz dał nam coś pić i legowiska na podłodze. Tak to trwało tydzień. Po tygodniu znaleziono nauczyciela, który miał dom składający się z dwóch mieszkań. I tam zgodził się, żeby ojciec mieszkał i prowadził praktykę lekarską. Tam był jeszcze jeden lekarz, ojciec poszedł z nim się umówić, że najbardziej lukratywne rzeczy, tak jak porody, nie będzie robił, tylko on będzie robił. I ojciec zaczął pracować w tym pokoiku, który tam dostał. Przychodzili, przyjeżdżali, można powiedzieć chłopci, i leczyli się u ojca. Jak zorientowali się, że to jest zakład z prawdziwego zdarzenia, przyjechał z zachodu, to było dość dużo chętnych. Z tym, że były dwie rzeczy śmieszne. Mianowicie, jeżeli ojciec nie zapisał lekarstwa, to uważano, że był zły lekarz. Nie lekarstwa, tylko zastrzyku. Musiał zapisać zastrzyk. Potrzebny czy niepotrzebny. Więc potem nazywał to solucją Amerykana, zapisywał ten środek

i kazał dawać te zastrzyki tym, którzy przyjechali do niego, ale to zupełnie nie było potrzebne. To była jedna rzecz. Teraz druga rzecz, też ciekawe, to wam opowiem. Mianowicie nad Bugiem były usługi. Nie pozwolono chłopom tam przychodzić i paść ani krów, ani koni, bo bali się przemytu na drugą stronę nie Odry tylko Bugu. Po drugiej stronie Bugu był teren rosyjski, był przemyt. Na przykład świnie przemycano się w ten sposób, że ładowało się do rzeki, żeby nie mogła kwiczeć, to miała nos zawiązany, przechodziło się na drugą stronę, sprzedawało. Tam takie różne rzeczy się działy. Natomiast była jedna rzecz ciekawa. Mianowicie na tym pastwisku była jedna krowa, która była strasznie złośliwa. Zaatakowała jedną dziewczynkę, dziobem, znaczy dziobem, rogiem rozdarła ją stąd do pępka. Dzieci narobiły krzyku, poleciały do rodziców, przyjechali po ojca. Ojciec wziął butelkę jodyny, duży bandaż i pojechał. Przyjechali po niego motocykliści, Niemcy z tej ochrony granicy. Ojciec przyjechał, obejrzał, wsadził te bebechy, które wypłynęły, wsadził do środka, założył, zakrył bebechy, zaplastrował to wszystko, wsadził do motocykla i pojechali do szpitala, do Kosowa Lackiego. Ojciec tam się błyskawicznie dogadał, zatrzymali dziewczuchę i teraz wyobraźcie sobie, po trzech tygodniach dziewczucha przyszła, podziękować ojcu, że jej życie uratował, i przyniosła jakieś wiktuały. Takiej odpłatności u nas by tu nie było. Natychmiast były jakieś zakażenia, to tamto. Nic nie było. Dziewucha się uratowała. Takie były tam stosunki i zwyczaje. Co ciekawszego, wam opowiedziałem. Teraz by trzeba było przejść do rzeczy obok. Obok nas był młyn mechaniczny. Oczywiście właścicielem był Żyd. Tam było wszystko żydowskie, sklepy, wszystko było żydowskie. Czasem udało się komuś, kogo wysiedlili, z Żydem się dogadać i przejąć jego miejsce handlu, ale tylko handlu. I teraz Niemcy wysiedlili tego młynarza, też oczywiście Żyda i postawili swojego człowieka, tak dla niego trojhendera, który tym młynem kierował i prowadził. To był człowiek z zachodniej Polski, bardzo sprytny, wyjątkowo sprytny. Nie widziałem równie sprytnego człowieka. On sobie kupił dwa samochody na gaz drzewny. Skupował na terenie żywność i woził do Warszawy, handlując. Potem się dogadał z jakimś Niemcem, oni go tam czasem zatrzymywali, zabierali mu tę żywność, więc Niemiec dostawał żywność za to, że trochę zatrzymywał dla rodziny, a resztę zawoził do Warszawy, w jego ukochanym miejscu zostawiał. Teraz świat szedł dalej, zaczęli zbliżać się Rosjanie. Myśmy nie kochali Rosjan i nie mieli wielkiej ochoty z nimi się spotkać. Ten [niezrozumiałe, 00:51:12] nasz też nie miał na to ochoty. On załadował w te dwa samochody rodzinę swoją, troje swoich dzieci, żonę i matkę żony, a drugi samochód przeznaczył dla nas. Załadowaliśmy graty nasze i pojechaliśmy do Warszawy. On w międzyczasie zdążył kupić mieszkanie w altance a poza tym wybudował na samej krawędzi, jeżeli to była Warszawa, to była krawędź, a to już było poza Warszawą to wszystko. Powiat warszawski. A on sobie tu wybudował dom, duży dom w tym kierunku, drugi dom w tym kierunku i za tym jeszcze bardzo wysoki taki. Przechowywanie samochodu. Do 15. co to było, to było święto, przyjechali Niemcy tą ulicą i ogłaszali, że jutro będą palić wszystkie domy. Macie się wynosić do Pruszkowa, a w Pruszkowie był obóz i wywożono do Niemiec na roboty. Oczywiście nie było głupiego, który by się tam do Pruszkowa wybierał. Samochody niestety Niemcy zabrali nam, piechotką każdy uciekał tutaj na drugą stronę. Tam była miejscowość, część Warszawy, która nazywa się Wernerowo. Tam kiedyś chodziły tramwaje 22. Myśmy tam uciekli z gratami, które daliśmy radę donieść. Następnego dnia oczywiście Niemcy przyjechali, spalili wszystko, co się dało, a następnego dnia myśmy poszli, znaczy ja i jeszcze krewny tego młynarza, żeby zobaczyć, co z tego pożaru ocalało. Więc wtedy przepuścili nas, myśmy poszli, obejrżeli, co się dało, zabraliśmy. Następnego dnia znowu poszliśmy, a tu już mnie nie przepuścili. Nie chcieli mnie puścić, musiałem się wrócić. Natomiast tego krewnego młynarza przepuścili, starszy człowiek był, poszedł, poszukał, co się dało jeszcze zabrać i zabrał. Tymczasem do tego Wernerowa zaczęli przychodzić Niemcy szukać uciekinierów z Powstania. Doszliśmy do wniosku, że jesteśmy w niebezpiecznej sytuacji. Postanowili głupio, ucieknijmy do Kampinosu. Ten młynarz

zorganizował transport, pojechaliśmy do Kampinosu. Tam utknęliśmy w jakimś, można powiedzieć wsi, to nie była wieś, to był jeden domek i tam sobie zamieszkaliśmy. Obserwowaliśmy potem, jak Niemcy zbombardowali tę miejscowość, jak to się nazywało, zrezydowali polscy żołnierze, polscy oficerowie, tam przelatywały samoloty, zrzucały lekarstwa, żywność, a Niemcy postanowili to niszczyć, przesłali bombowce, sztukas, zbombardowali wszystko i Polacy zaczęli uciekać stamtąd. A Niemcy zaczęli gonić. Oni uciekli bardzo daleko, aż pod Grodzisk Mazowiecki, a wtedy stwierdzili, że są zbyt zmęczeni, dalej nie będą uciekać. Położyli się w tym Grodzisku Mazowieckim spać. Tymczasem Niemcy ich dogonili i większość wystrzelali. Ten człowiek, który mi to opowiadał, miał na sobie battle dress, czyli ubiór angielski. Budzi się rano, patrzy, nad nim stoi Niemiec z karabinem wymierzonym w niego. Niemiec się zorientował, że on ma ten battle dress i zastrzelił go. Myśleli, że się coś ciekawego dowiedzą, a nic się nie dowiedzieli i on pomału uciekł i wrócił do Warszawy. Tutaj zamieszkał w swoim domu rodzinnym. Myśmy mieszkali bardzo długo w tym domu. W końcu Niemcy przyszli do sąsiedniej wsi i myśmy doszli do wniosku, że trzeba się stamtąd wynieść. Poszedł ten młynarz, poszedł do niego krewny, poszedł mój ojciec do tych Niemców, to byli gestapowcy. Oni najpierw na ojca napadli, że ojciec im zlecił jakiegoś rannego. W rzeczywistości tam przyszedł do tej wsi kiedyś patrol polski i mieli jednego Ukraińca, postrzelonego nie wiem, czy tu, czy tu i kazali go ojcu opatrzyć. Ojciec go opatrzył, wtedy oni go wyprowadzili poza dom, kazali mu wykopać jamę i zastrzelili go od razu. Ojciec powiedział, że jeżeli ten człowiek, któremu kazali, on miał pistolet, ojciec nie miał, to, co miał zrobić? A po drugie, ten człowiek, którego opatrywał, był w niemieckim mundurze, to o co wam chodzi, dajcie spokój. Pozwolili nam się wynieść. I teraz zaczęła się włóczęga. Pojechaliśmy do Łowicza, do Sochaczewa, szukaliśmy miejsca, gdzie utknąć, bo zawsze postanowienie było takie, że jeżeli zrobi się możliwość, to będziemy uciekać do swoich stron rodzinnych. Znaczący my do Poznania, a ten młynarz jeszcze za Poznań, bo on tam miał swój młyn kiedyś. Więc z początku była brama, siedzieli niebiescy strażnicy i nie przepuszczali nikogo na zachód. Nagle przychodzi wiadomość, że Niemcy uciekli. Przejście wolne. Więc ten młynarz miał konia i wóz, dużego konia, duży wóz, on był tam ze swoją rodziną, dzieci, żona i matka żony, i zaraz miejsce zrobił, nas też załadował i ruszyliśmy na zachód. Brama była otwarta, jedziemy. Dojechaliśmy w końcu do Kutna, a w Kutnie nas Niemcy zatrzymują: „Nie pojedziecie dalej, macie skręcić na północ na [niezrozumiałe, 00:57:54] Uparli się, musieliśmy czekać długo, bo Niemcy wysyłali transporty kolejowe przez przejście, przez które myśmy mieli przejechać. Długo musieliśmy czekać, wreszcie uspokoiło się, przejechaliśmy. Jedziemy teraz spokojnie sobie na zachód, dojeżdżamy na miejsce, gdzie jest szosa, [niezrozumiałe, 00:58:18]. Koń się dwa razy potknął i odmówił jazdy. Przyszedł ten młynarz, Przyszedł ten młynarz, który się znał na prowadzeniu konia, odpiął konia, dał go mnie i powiedział: „Ty pójdziesz na dół, koń ci pójdzie”. Koń poszedł ze mną na dół, a on wlaź między dyszlotki i chciał zjechać na dół, ale się potknął i przejechał po polsku mówiąc na dwóch literach. Zjechał na dół, konia przyczepili, pojechaliśmy dalej. I tak włóczyliśmy się chyba ponad miesiąc. Różne tam były sytuacje, były samochody, które się paliły, zastanawialiśmy, czy nie użyć, ale nie zrobiliśmy tego. Jeszcze jedna rzecz, jak myśmy kawałek odjechali od Kutna, podbiegł do nas Niemiec, w niemieckim mundurze, że on jest strasznie zmęczony, postrzelali mu samochód, musiał uciekać, Rosjanie go gonili, czy on by się mógł do naszego wozu przysiąść. Nie było wyjścia, musieliśmy się zgodzić. Przysiadł się do naszego wozu, kawałek pojechał. Potem zlaź szczęśliwie, poszedł dalej. I teraz kulminacyjny punkt, który mógł nas życie kosztować. Jedziemy, jedziemy, a ja wiedziałem, że ta szosa jest pofalowana. Matka moja dała się namówić w głupi sposób i uciekaliśmy z Poznania, żeby się dostać do Warszawy. Na końcu Niemcy nas dogonili i wróciliśmy, więc ja znałem tę trasę. Dojechaliśmy do miejsca, gdzie było ostro pod górę i całe te ostro pod górę było zastawione wozami.